

TAK MÓWIĄ GWIAZDY, PANIE KOMISARZU

*Mika
Waltari*



*Mika
Waltari*

TAK MÓWIĄ GWIAZDY,
PANIE KOMISARZU

Tytuł: *Komisarz Palmu. Tom 3. Tak mówią gwiazdy, panie komisarzu*

Autor: Mika Waltari

Wydawnictwo: Nemezis

Tytuł oryginału: *Tähdet kertovat, komisario Palmu!*

Copyright © The Estate of Mika Waltari

First published in Finnish with the original title **Tähdet kertovat, komisario Palmu!** in 1962 by Werner Söderström Ltd (WSOY), Helsinki, Finland.

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights Finland and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland.

Copyright for this edition © 2025 by Wydawnictwo Nemezis

© Copyright for the Polish translation by Sebastian Musielak

Przekład: Sebastian Musielak

Projekt okładki i ilustracje na okładce: Klaudia Faber

Opieka redakcyjna: Waldemar Popek

Redakcja: Weronika Kosińska

Korekta: Justyna Chmielewska, Dorota Trzcinka,

Małgorzata Wójcik, Agnieszka Kiersnowska

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-034-7

ISBN e-book: 978-83-8412-035-4

ISBN abonament: 978-83-8412-036-1



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

1.

Zacznę od panny Kaino Pelkonen. Lat czterdzieści dziewięć, jak sama powiedziała. Była urzędniczka ubezpieczalni. Rankiem ostatniego dnia września, zanim jeszcze wschodzące słońce rozjaśniło jej nowoczesną kawalerkę przy ulicy Obserwatoryjnej, szkocki terier Dobry Druh, z rodu Abercombe-Cooke, powoli otworzył oczy i zaczął popatrywać dobrotliwie na swoją śpiącą panią. Tuż przed godziną szóstą piesek ostrożnie wyszedł ze swojego kosza, podreptał do wezglowia łóżka, przysiadł na tylnych łapach i wbił spojrzenie w przymknięte powieki panny Pelkonen.

Po kilku minutach owego hipnotyzowania pojawił się pożądaný rezultat. Kobieta westchnęła i otworzyła oczy, napotykając od razu, zaledwie dziesięć centymetrów od swojej głowy, intensywne, nieruchome spojrzenie wiernego psa. Widząc, że jego pani już się obudziła, Dobry Druh przystąpił do zwyczajowych czułości. Zaśmiał się bezgłośnie i przelotnie cmoknął kobietę w policzek, ale nie zaszczekał. Z biegiem lat nauczył się respektować obowiązujący w kamienicy regulamin. Uszlachetniana przez pokolenia krew niosła i tę informację, że wczesnym rankiem małe pieski powinny raczej siedzieć cicho.

Gdy zaczyna się ta opowieść, panna Pelkonen i jej szkocki terier są już, że tak powiem, bardzo ze sobą zżyci i zdążyli zaakceptować nawzajem swoje nawyki. Dobry Druh nie okazywał więc zniecierpliwienia, kiedy jego pani parzyła sobie w kuchni zwyczajową poranną kawę, której starczało na dwie filiżanki. A gdy wyszła z łazienki, gdzie po odprawieniu

niezbędnych rytuałów nałożyła sobie na usta i blade policzki róż, Dobry Druh czekał już przy drzwiach, trzymając smycz w zębach.

Kiedy schodzili cichutko po schodach, szary i wilgotny helsiński świt dopiero budził się ze snu. O tej porze dnia panna Pelkonen wzdragała się nawet korzystać z windy, aby łoskot nie zbudził czasem kogoś z mieszkańców. Z racji posiadania psa nasłuchiwała się już dosyć gróźb i obelg. Co prawda w regulaminie nie napisano wprost, że w kamienicy nie wolno trzymać psów, jednak z drugiej strony, jak na zebraniu spółdzielni mieszkaniowej podkreślił rozeźlony prawnik z ostatniego piętra, nie napisano w nim również, że mieszkańcom kamienicy *wolno* je posiadać.

Tak oto zaczynała się dla panny Pelkonen codzienna droga przez mękę. Z niewypowiedzianą ulgą kobieta stwierdziła, że drzwi bramy są ciągle zamknięte na klucz, oznaczało to bowiem, że dozorca jeszcze nie wstał z łóżka. Nie żeby panna Pelkonen, czy raczej jej Dobry Druh w najśmielszych marzeniach odważył się choćby wyobrazić sobie załatwianie naturalnych psich potrzeb, nawet tych najbardziej przelotnych, na skrawku trawy rozpościerającym się przed okazałą fasadą domu. Dozorca miał jednak swoje zasady i na widok panny Pelkonen wychodzącej z psem nieodmiennie warczał.

Ulica była wyludniona i cicha. Nie było nawet jeszcze roznosiciela gazet. Panna Pelkonen odetchnęła głęboko z ulgą i już bez oporów pozwoliła pociągnąć się swemu psu na zwirową alejkę wiodącą na szczyt Wzgórza Obserwatorium.

Tam Dobry Druh się zatrzymał i znów skierował szlachetne spojrzenie na swoją panią. Panna Pelkonen rozejrzała się szybko, po czym wypięła smycz z obroży, puszczając psa swobodnie na trawę, między drzewa i krzewy. Tu i ówdzie na ziemi leżały mokre żółte liście, było jednak zupełnie bezwietrznie, wilgotno i szaro.

Panna Kaino Pelkonen, mając lat czterdzieści dziewięć i odrobinę sztucznego różu na bladych policzkach, zdawała sobie sprawę, że spuszczać psa ze smyczy i pozwalając mu swobodnie biegać po parku, łamie wszystkie przepisy. Dwie filiżanki kawy rozgrzały ją jednak i ośmieliły. Z przekorą powiodła wzrokiem dokoła, choć dobrze wiedziała, że o tak wczesnej porze nie zobaczy nigdzie ani zamiatacza, ani stróża.

Bywało, że parkowy stróż ordynarnie ją sklął, a ten i ów pacnął miotłą jej ukochanego psa. Te przykre doświadczenia sprawiły, że panna Pelkonen najchętniej wstawiała jeszcze przed szóstą, a w cudowne letnie poranki nawet i o czwartej, by móc ze spokojem wyprowadzić Dobrego Druha na spacer. Nie mogła się pogodzić ze złem ludzkiej natury ani niesprawiedliwością miejskich rozporządzeń, bo przecież psy również płaciły podatki, i to uczciwiej i niezawodniej niż niejeden człowiek. Mogła co najwyżej uniknąć przykrości, poświęcając ostatnie godziny nocnego spoczynku.

Panna Pelkonen szła więc alejką ku obserwatorium, a zachwycony, choć powstrzymujący się dzielnie od szczekania Dobry Druh biegał między krzewami. Od czasu do czasu zatrzymywał się i szybkim spojrzeniem sprawdzał, czy jego pani się nie zgubiła. Nasyciwszy się smętnym zapachem gleby i wilgotnych liści w parku, panna Pelkonen skierowała kroki w stronę pomnika Rozbitków. Co prawda w powietrzu stała jeszcze mgła, kobieta miała jednak nadzieję zobaczyć złotą zorzę słońca, wschodzącego za portem i Katajanokką¹. Niejeden raz oglądała tam cudowny wschód zupełnie sama, choć daleko na placu Targowym ruch zaczynał się już o tak wczesnej porze.

Tamtego dnia jednak promienie słońca rozmyły się w szarym brzasku. Rozwidniało się tylko, poźółkłe i pordzewiałe liście na drzewach powoli nabierały barw, a trawa zieleniała. Panna Pelkonen patrzyła na port,

podczas gdy jej pies z niesłabnącym zapalem prowadził prywatne poszukiwania w okolicznych krzakach.

I jeżeli rzeczywiście *nomen est omen*, jak lubi powtarzać komisarz Palmu w chwilach słabości, to trudno o bardziej trafne zestawienie imienia i nazwiska dla naszej bohaterki². Panna Pelkonen była zarówno nieśmiała, jak i tchórzliwa, do czego zresztą uczciwie się w duchu przyznawała. Z początku przerażały ją te poranne spacerki po wyludnionym parku. Nie tylko dlatego, że ktoś mógłby ją nakryć na spuszczeniu psa ze smyczy. Panna Pelkonen bała się również koczujących w parku bezdomnych pijaków.

Czasem jednak słońce wychylało się zza horyzontu tak pięknie, że kobieta zupełnie zapomniała o strachu i z uśmiechem na ustach wyobrażała sobie, że któregoś dnia o tej właśnie, bardzo wczesnej godzinie porannej zupełnie przypadkowo natknie się w tym parku na pewnego *pana*, pogrążonego w myślach naukowca lub poetę, który aż podskoczy na jej widok... i... i tak dalej.

W tamtej chwili posunięte już dość daleko marzenia panny Pelkonen przerwało jednak dobiegające z krzaków donośne szczekanie jej niezawodnego towarzysza, Dobrego Druha. Jazgotliwe ujadanie zmało parkową ciszę tak brutalnie, że skamieniała ze strachu kobieta nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej pies zbudził całe Helsinki. Coś się stało. To nie był skowyt bólu, ale Dobry Druh musiał się czegoś bardzo przestraszyć.

Terier wystrzelił z krzaków i rzucił się pędem w stronę swojej pani. Jego ciepłe, brązowe spojrzenie było teraz wyblakłe i szkliste. Wściekle szczekając, Dobry Druh podbiegł do panny Pelkonen, aby ją wezwać w krzaki, po czym popędził pierwszy z powrotem i znów zawrócił. Na

szczęście nic mu się nie stało. Po prostu znalazł coś, co go okropnie nastraszyło. Dobry Druh był psem bardzo wrażliwym.

Widząc przerażenie swojego ulubieńca, panna Pelkonen sama przestała się bać. Zganiła go cicho za szczekanie i ruszyła za nim w stronę kępy krzaków, rozsuwając witki na boki. Wilgotne liście czepiały się jej sukienki. Na ziemi pod krzewami dostrzegła zdarte podeszwy męskich butów, dwie wystające ze spodni nogi oraz wywiniętą na lewą stronę połę płaszcza. Leżący twarzą do ziemi mężczyzna zaciągnął sobie jesionkę na tył głowy. Pijak. Oczywiście panna Pelkonen od razu pomyślała, że to jakiś bezdomny ochlapus. Może przez te znoszone zelówki. Albo pozycję, w jakiej leżał mężczyzna. No i miała wręcz nieodparte wrażenie, że w rześkim jesiennym powietrzu unosi się wyraźny odór alkoholu.

Pies przestał szczekać. Dobry Druh, dzielny przyjaciel, warknął i szarpnął leżącego za nogawkę, nim jego pani zdążyła go powstrzymać, zaraz jednak odskoczył i podwinąwszy ogon, zaskomlał i jął żałośnie popatrywać na pannę Pelkonen.

Dobry Druh nie zdołał zbudzić śpiącego. Panna Pelkonen przemogła więc niechęć i pochyliwszy się zdecydowanie nad leżącym, szarpnęła go za nogę. Ostatecznie nawet pijaka nie wolno zostawiać na mokrej ziemi. Jeszcze się nabawi zapalenia płuc.

Noga okazała się jednak zupełnie sztywna. Dopiero wtedy panna Pelkonen przejrzała na oczy. Pijak był martwy. Mały, obszarpany żul z głową nakrytą płaszczem. Zupełnie sztywny. Wtedy z gardła panny Pelkonen wydobył się krzyk. Nie zdołała go powstrzymać. Krzyknęła głośno. Kilka razy z rzędu.

Napotkała jednak karcące spojrzenie Dobrego Druha i po chwili jakoś zdołała nad sobą zapanować, ograniczając się do samego dygotania. Pies patrzył na swoją panią tak, jakby mu było za nią wstyd, choć sam

z początku też bardzo się przestraszył i prawie zupełnie stracił głowę. Martwy pijak był doskonale nieruchomy. Niewzruszoność śmierci, jej spokojna maniera nawet w tak nędznej człowieczej formie udzieliła się w końcu także pannie Pelkonen. Kobieta przestała dygotać.

Wycofała się z krzewów do alejki i przez chwilę rozważała, co robić. I wtedy właśnie na stoku wzgórza od strony obserwatorium pojawił się pewien *pan*, dżentelmen jej życia, jota w jotę taki, jakiego sobie wymarzyła. Szedł wolnym krokiem myśliciela, rozglądał się jednak badawczo. Nie był może tak wysoki i przystojny, jak się spodziewała, ale miał szpakowate skronie i posiwiałe brwi, na głowie zaś zielony kapelusz z małym czerwonym piórkiem.

Panna Pelkonen zamarła i gapiała się na niego z rozdziawionymi ustami. Dobry Druh szybciej rozpoznał sytuację. Podskoczył i pobiegł, rzucił się ku owemu *panu*, ze szlochem przyskoczył do niego i przytulił się do wystającej spod poły jego modnego deszczowego płaszcza eleganckiej szarej nogawki, zaczął wprost tarzać się przed nim z czystej radości i wielkiej wdzięczności. Dżentelmen pochylił się i pogłaskał teriera po grzbiecie, po czym znów się wyprostował, obrzucił pannę Pelkonen stalowoszarą, acz przyjaznym spojrzeniem i spytał głosem roztargnionym, jak gdyby został wyrwany z głębokich rozmyślań:

— Czy ktoś tu krzyczał? Zdawało mi się, że stąd dobiegały kobiece krzyki.

Panna Pelkonen wahała się tylko przez chwilę. Bezwarunkowa *uczciwość*, przypomniawszy sobie, wyznała więc natychmiast:

— To ja krzyczałam.

I jakby wiedziona przemożną siłą, spojrzała nieśmiało nieznanemu dżentelmenowi prosto w oczy. Na krótki, przez co tym bardziej osobliwy

moment czas i przestrzeń przestały istnieć. Panna Pelkonen zdołała się jednak otrząsnąć, a wtedy wskazała na krzaki i wyjąkała:

— Tam, w krzakach, le-leżą zwłoki ja-akiegoś pijaka. Dobry Druh... — Poczerwieniała i szybko sprostowała: — To znaczy mój pies znalazł je i bardzo się przestraszyłam.

Dżentelmen ponownie się pochylił i pogłaskał za uszami Dobrego Druha, który z uwielbieniem przylgnął do jego nogi, po czym rzekł nieobecny głosem:

— Piękny pies.

Wpatrywał się jednak w pannę Pelkonen. Kiedy się otrząsnął, wkroczył między krzewy i trącił czubkiem buta zeszywniałe ciało. Zaraz też wrócił z lakonicznym komunikatem:

— Nie żyje, fakt.

Powiedziawszy to, rozejrzał się uważnie dookoła i ku wielkiemu zdziwieniu panny Pelkonen zapytał:

— I co z tego?

Czarny, kędzierzawy terier szkocki siedział na piasku przed mężczyzną i wpatrywał się w niego z uwielbieniem.

Panna Pelkonen się zawahała.

— Może powinniśmy... — zaczęła.

— Powiadomić policję? — dokończył za nią dżentelmen. — Oczywiście. Wiadomo. Tak właśnie powinniśmy postąpić. Ale... — Mężczyzna zdjął kapelusz, przeciągnął ręką po szpakowatych włosach, jak gdyby bolała go głowa, i dopiero wtedy dokończył: — Ale gdzie pani teraz uświadczy policjanta? Czy ktoś w Helsinkach widział ostatnimi laty żywego funkcjonariusza? Bywa, że ulicą przemknie radiowóz. Za dnia można zobaczyć dwóch konnych podczas zmiany warty. I czasem przy drodze policjantów z lizakiem, zawsze nim się zdąży nacisnąć hamulec. Ale

czy istnieją jeszcze zwyczajni stójkowi, jak za czasów naszej... proszę mi wybaczyć... mojej młodości? Żywy posterunkowy, w mundurze, chodzący po rewirze z rękami założonymi z tyłu to już tylko mit.

— Policja to nie żaden mit — zachnęła się panna Pelkonen z przesadną może ostrością. Przypomniała sobie bowiem policjanta, który kiedyś wyrósł jak spod ziemi akurat wtedy, gdy na skraju Kaivopuisto³ spuściła Dobrego Druha na krótką chwilkę ze smyczy.

— Chodzi mi raczej o to — odezwał się po namyśle dżentelmen — że nie warto ściągać sobie na głowę niepotrzebnych kłopotów. Cóż ta sprawa może panią obchodzić? Obchodzić nas? Jeżeli zgłosimy to na policję, stracimy tylko mnóstwo czasu. Zaczną nas przesłuchiwać. Zacznie się spisywanie personaliów i miejsca zamieszkania. Po co nam to wszystko? Zupełnie bez powodu. Przez jakiegoś pijaka.

Panna Pelkonen znów zaczęła dygotać. Przez głowę przebiegła jej straszliwa myśl.

— Czyli będę... będę musiała się przyznać, że... że mój pies nie był na smyczy? — zapytała. — Puszczam go luzem tylko wcześniej rano, kiedy nikomu to nie przeszkadza.

— Oczywiście, że będzie pani musiała — odrzekł dżentelmen. — To jasne jak słońce. Jakżeby inaczej mógł znaleźć zwłoki?

— Ale... — zaproponowała panna Pelkonen, zapominając o sobie. — Przecież *nie możemy* zostawić go ot tak, na ziemi, w krzakach. W końcu to też *człowiek*, jakkolwiek by patrzeć. Naszym obowiązkiem jest zawiadomić policję.

— Wkrótce ktoś go znajdzie, proszę się nie martwić — uciął zniecierpliwiony dżentelmen. — Spadło sporo liści. O siódmej przyjdą dozorczy z miotłami. Czyż to nie najprostsze i najbardziej oczywiste

rozwiązanie? My zaś pójdziemy teraz każde swoją drogą i zapomnimy o całej sprawie.

— Ależ... — bąknęła oburzona panna Pelkonen, unosząc się lekko na palcach — ależ tak nie można! To takie... takie *samolubne*!

Dżentelmen potrząsnął ze smutkiem głową, włożył kapelusz i z westchnieniem znów się pochylił, by pogłaskać Dobrego Druha.

— Piękny pies — powtórzył nieobecny tonem. — Tak, tak, na świecie powinno być więcej ludzi takich jak pani. Może wtedy łatwiej byłoby na nim żyć. Ale... — dżentelmen najwyraźniej podjął niemłą decyzję. — Niestety, ja nie zamierzam się do tej sprawy mieszać. Proszę się nie zżymać. Naprawdę *nie mogę*. Niechże pani robi, co pani sumienie dyktuje.

To rzekłszy, uchylił elegancko zielonego kapelusza z maleńkim czerwonym piórkiem, skłonił się i odwrócił. Bez pośpiechu ruszył pod górę tą samą alejką, którą przyszedł. Dobry Druh ruszył truchtem przy jego lewej pięcie, jak gdyby chciał mu pokazać swoje dobre maniere. W końcu dżentelmen musiał się zatrzymać i rozkazać psu, aby wrócił do swojej pani. Dobry Druh usiadł i odprowadził mężczyznę smutnym wzrokiem. Tak oto jedyny prawdziwy *pan* w życiu panny Pelkonen właśnie się z niego ulotnił. Na zawsze. Tak przynajmniej wtedy sądziła.

Wciąż wspięta na palce i z rozpaloną twarzą, lecz zimnym od doznanego zawodu sercem stała i patrzyła za odchodzącym, a minę miała taką samą jak jej szkocki terier.

Panna Pelkonen nie miała jednak czasu na sentymenty. Trzeba było działać. To był jej *obowiązek*. Telefon, przemknęło jej przez głowę, ruszyła więc biegiem alejką w dół, potykając się, sapiąc i trochę szlochając. Dobry Druh pędził przed nią, przezwyciężając dzielnie przemożną chęć głośnego poszczekiwania. Nie wypadało.

Zbiegając ze Wzgórza Obserwatorium, panna Pelkonen kątem oka dostrzegła stojący pośrodku trawnika samochód z maską dziwnie owiniętą na pniu grubego drzewa. Nie zwróciła na niego jednak większej uwagi. W centrum Helsinek widywało się najróżniejsze rzeczy, a poza tym panna Pelkonen nie umiała jeździć.

Na skraju parku przemknął jej przed samym nosem jęczący, rozespany tramwaj. Przy Hali Targowej kręcili się już ludzie. Kobieta znalazła budkę telefoniczną, weszła do środka i energicznie szarpnęła za słuchawkę. Poszło jej to łatwo, gdyż przewód był zerwany. Cały aparat był zniszczony, a książka telefoniczna tak podarta, że panna Pelkonen nie znalazłaby w niej nawet numeru na policję. Na dodatek po przeszukaniu torebki kobieta stwierdziła, że nie ma odpowiednich monet.

Szok powoli mijał. Na pewno któraś z kawiarenek w Rynku będzie już otwarta, oby tylko mieli telefon. Panna Pelkonen zdecydowanym ruchem przypięła smycz do obroży swojego wiernego towarzysza. Dobry Druh poddał się temu z psią pokorą i ze spuszczoną głową i podkulonym ogonem ruszył za swoją panią. Wiedział, że to już koniec przyjemności tego dnia, że oto znowu wraca surowa proza życia.

Nie musieli jednak iść na sam Rynek. Po drodze pannie Pelkonen rzuciła się w oczy piękna fasada hotelu. Pchnęła więc energicznie ciężkie szklane drzwi i weszła do środka, ciągnąc za sobą opierającego się teriera.

Za ladą ze szlachetnego drewna wstał uprzejmie nocny portier. W ułamku sekundy zlustrował kobietę od stóp do głów, natychmiast zwracając uwagę na rasowość psa i jego jasnozieloną smycz. Bez chwili wahania wyciągnął rękę ku półeczce z kluczami i zapytał automatycznie:

— Jaki numer?

Zmieszana panna Pelkonen nie dostrzegła gestu portiera, pomyślała więc od razu, że chodzi mu o numer telefonu.

— Nie wiem — odrzekła szczerze. — Ale pan na pewno wie.

Portier zerknął bezradnie na szlachetnego, pięknie przystrzyżonego teriera i pomyślał, że pewnie kobieta wraca z przeciągniętego do późna koktajlu gdzieś na Munkkiniemi albo na West-Endzie⁴. Ale nie, nie była wstawiona. Personel ekskluzywnego hotelu musi być przyzwyczajony do obsługiwania roztargnionych gości.

— Przepraszam, a z kim mam przyjemność? — zapytał jeszcze taktowniej, spoglądając mimowolnie na psa. Dobry Druh machnął ogonem z powściągliwą grzecznością. Panna Pelkonen nie mogła powstrzymać uśmiechu, zapominając na chwilę o swoich troskach. Jakiż miły człowiek z tego portiera.

— Z Dobrym Druhem — odrzekła skwapliwie. Widząc przerażone spojrzenie mężczyzny, dodała pospiesznie: — Z rodu Abercombie-Cooke, może pan słyszał. Bardzo znany ród.

Zdaje się, że portier odebrał te słowa jak łagodną przyganę, choć w głosie panny Pelkonen nie było śladu wyższości. Poczzerwieniały na twarzy, pochylił się nad ladą i zaczął przeglądać księgę gości.

— Prze-praszam, a jak to się pisze? — zapytał.

Panna Pelkonen powoli traciła cierpliwość. Już samo wejście do luksusowego hotelu wymagało od niej wielkiej odwagi. A teraz jeszcze musi podać nocnemu portierowi pisownię pełnego imienia swojego psa, żeby móc zatelefonować po policję, więc coś jest nie tak albo z tym człowiekiem, albo z całym hotelem. Jakkolwiek by patrzeć, ubrana była w wyjściową sukienkę z salonu. Nie musiała się wstydzić swojego wyglądu.

— Nieważne, jak się pisze — rzekła głosem drżącym z napięcia. — Proszę mi tylko podać ten numer.

— A-ale... — wyjąkał nieprzekonany portier — ...ja tu nie mam takiego nazwiska.

— Mniejsza o nazwisko! — Panna Pelkonen zdenerwowała się już na dobre. Dobry Druh wyczuł to w jej głosie, przywarł więc do jej nogi i obnażył zęby. Wbił w portiera groźne spojrzenie, a z jego gardła zaczął się wydobywać ostrzegawczy warkot. — Mniejsza o nazwisko — powtórzyła. — Sama sobie poradzę, jeżeli to dla pana tak wielki kłopot.

Ruszyła w stronę lady, a wtedy portier cofnął się i oparł o półkę z kluczami. Dobry Druh stracił go z oczu, zaczął więc jak opętany obwąchiwać ścianę lady w poszukiwaniu szczeliny, którą w razie potrzeby mógłby przecisnąć się na drugą stronę i ugryźć człowieka w łydkę. Był to pies bardzo wrażliwy i od razu zauważył, że człowiek irytuje jego panią.

— Nie mogę na to pozwolić! — sprzeciwił się portier. — Czy łaskawa pa-ani jest pewna, że mieszka akurat w tym hotelu?

— Posłuchaj no pan! — Panna Pelkonen straciła resztki cierpliwości. — Nie chciałam być nieuprzejma, ale albo pan nie ma piątej klepki, albo ja! Nie mieszkam w tym hotelu, nigdy tu nie mieszkałam i nigdy nie zamieszkać. Chcę tylko numer. Numer telefonu na policję. Rozumie pan, co mówię?

Jednak wrażliwość wzięła w niej górę, bo poblady portier zrobił urażoną minę. Dodała więc:

— Niechże pan spróbuje zrozumieć, to sprawa życia i śmierci.

Portier odzyskał zawodowy rezon. Nie miał już wątpliwości, że kobieta jest stuknięta, zwał jak zwał, Kombi czy Kruk.

— Jeżeli łaskawa pani tutaj nie mieszka — oświadczył cierpko — muszę panią poprosić o opuszczenie hotelu. Nie życzymy tu sobie żadnych scysji. Staramy się załatwiać podobne sprawy bez rozgłosu. Zwykle nie

dzwoniemy po policję, ale... no właśnie, bardzo panią proszę, aby zechciała wyjść.

Panna Pelkonen niemal zakipiała ze złości. Wspięła się na palce, a Dobry Druh warknął głucho.

— Czy pan naprawdę nic nie rozumie? — postanowiła przemówić portierowi do rozsądku. — Znalazłam przed chwilą na Wzgórzu Obserwatorium zwłoki. Jakiegoś pijaka. — Przypomniała sobie całe zdarzenie, a ponieważ postanowiła trzymać się prawdy, dopowiedziała po chwili: — Prawdę mówiąc, to znalazł je mój pies.

Portierowi raz jeszcze przemknęła przez głowę kusząca myśl, że może by tak zatelefonować do psychiatryka. Jednak ponownie przyjrzał się uważnie stojącej przed nim kobiecie, a znał się na ludzkiej naturze jak mało kto.

— Łaskawa pani, dlaczego przychodzi pani do hotelu, dlaczego próbuje się pani wedrzeć do środka, choć nie ma tu pani pokoju? — spytał. — Przecież ja nie mogę tego człowieka wskrzesić.

— Nie jestem żadną łaskawą panią! — oburzyła się namiętnie panna Pelkonen. Pozostawała kobietą niezależną, choć nieśmiałą, i z biegiem lat nabrała wstrętu do tego wiecznego imputowania jej małżeństwa. Nie widziała niczego wstydliwego w dożywotnim trwaniu w stanie panińskim. Tak przynajmniej przekonywała samą siebie w duchu.

— I wcale nie próbuję wedrzeć się do środka — zachnęła się. — Chcę tylko wiedzieć, jaki jest numer na policję. Muszę zatelefonować.

— Ale dlaczego właśnie z tego hotelu? — jęknął zrozpaczony portier. — Dlaczego chce pani mieszać nas do tej sprawy? Hotelowi nie zależy na tak wątpliwej sławie.

W umyśle panny Pelkonen zaczęło już pączkować podejrzenie, że chyba wszyscy mężczyźni wolą z natury chować uszy po sobie i żywią

dziwną niechęć do wszelkiego rozgłosu. Nie chciała myśleć źle o uprzejmym dżentelmenie, którego spotkała w parku pod pomnikiem Rozbitków, bo Dobry Druh bardzo dobrze go przyjął. Ale tego było już za wiele. Za chwilę ten gbur za ladą zacznie jej radzić, aby nie pchała nosa w nie swoje sprawy.

I znów przemknęła jej przez głowę myśl, że sprawy tego świata wyglądałyby znacznie lepiej, gdyby załatwiały je kobiety, szybko i sprawnie. Jak to powiedział ów czarujący dżentelmen w parku? Że może wtedy łatwiej byłoby żyć na świecie.

— Nie będę mieszać hotelu do tej sprawy — przyrzekła oficjalnym tonem. — Chcę tylko zatelefonować. Potem sobie pójdę. Niechże mi pan poda numer na policję.

Portier z ociąganiem otworzył książkę telefoniczną na pierwszej stronie i zapytał z goryczą w głosie:

— Porządkowa czy kryminalna?

— Nie wiem — przyznała panna Pelkonen. Zwyciężyła jednak kobieca mądrość, bo panna Pelkonen przypomniała sobie swojego psa i rzekła złośliwie: — Rozkładanie się w miejscu publicznym to na pewno sprawa kryminalna, skoro nawet piesek i jego właścicielka traktowani są jak kryminaliści... wystarczy w parku spuścić czworonoga na chwilę ze smyczy... Ale jak człowiek zapija się na śmierć, i to na widoku, to na mój rozum jest to sprawa dla policji porządkowej.

— Zero zero dwa — orzekł portier, wykręcił numer i niechętnie wręczył słuchawkę pannie Pelkonen. — Proszę bardzo.

— Dyżurny policji porządkowej. — Ze słuchawki dobiegł wyraźny głos.

— Znalazłam przed chwilą nieżywego pijaka w parku na Wzgórzu Obserwatorium, niedaleko pomnika Rozbitków — zaczęła rzeczowo

wyjaśniać panna Pelkonen. — Ściślej mówiąc, znalazł go w krzakach mój pies. Zapił się na śmierć, oczywiście... Co?

Przysłoniła słuchawkę dłonią, posłała portierowi przerażone spojrzenie i wyszeptwała:

— Pyta, jak się nazywam i skąd dzwonię. Muszę mu powiedzieć?

Portier rozłożył szeroko ramiona, jak gdyby chciał pokazać, że właśnie przed tym cały czas ją ostrzegał. Nic to jednak nie pomogło pannie Pelkonen.

— Mniejsza o moje nazwisko — odrzekła ostro — ale bez trudu mnie znajdziecie. Będę czekać... będę czekać, powiedzmy, że przed hotelem Palace. Drobna kobieta w brązowej sukience, z czarnym psem, szkocki terier. Oczywiście pies będzie przepisowo na smyczy. — Panna Pelkonen uznała, że lepiej to podkreślić, tak na wszelki wypadek.

Zaraz też spiekła raka, bo dyżurny powiedział coś zupełnie niepotrzebnego o jej stroju. Potem zdecydowanym ruchem odłożyła słuchawkę na widełki i zapytała:

— Ile kosztowała ta rozmowa?

— Nic, w takim przypadku absolutnie nic — odrzekł portier pospiesznie i z ulgą, po czym wyskoczył zza lady i pobiegł otworzyć kobiecie drzwi. Dobry Druh próbował capnąć go za nogawkę i choć panna Pelkonen doskonale rozumiała jego uczucia, przytrzymała psa na smyczy. Z wielką godnością wyszła na dwór, ciągnąc za sobą Dobrego Druha. Portier grzecznie się jej uklonił.

Jeżeli do tamtej pory panna Pelkonen miała raczej niepochlebne zdanie o helsińskiej policji, to już chwilę potem jej opinia wyraźnie się poprawiła. Ledwie bowiem zdążyła wyjść na ulicę, gdy pod hotel zajechał bezgłośnie czarny samochód i ostro zahamował, kiwając antenką radia. Kobieta nawet nie przypuszczała, że to może być policyjny radiowóz. Zorientowała się

dopiero wtedy, gdy ze środka wyszedł umundurowany policjant i od razu otworzył jej tylne drzwi.

— Czy to pani telefonowała? — zapytał. — Proszę zaraz wsiadać. Jak jedziemy?

Pannę Pelkonen tak oszołomiła szybkość, z jaką to wszystko się odbyło, że pochylając się i wchodząc do samochodu, zgmiotła sobie kapelusz. Wrodzona podejrzliwość Dobrego Druha wobec policyjnego munduru kazała mu zaprzeć się wszystkimi czterema łapami, tak że jego pani musiała siłą wciągnąć go do środka. Bardzo go to dotknęło, jednak panna Pelkonen nie mogła od razu zająć się swoim naburmuszonym psem, bo oczywiście najpierw musiała rozprostować kapelusz. W międzyczasie policyjny wóz już zdążył się rozpędzić do całych stu kilometrów na godzinę i z wyjącą syreną mknął Południowym Wybrzeżem. Byli gdzieś w okolicach kościoła Świętego Henryka, gdy panna Pelkonen wreszcie doprowadziła swój kapelusz do ładu i rozejrzała się.

— Ależ to nie tu — rzuciła niecierpliwie. — I proszę tak potwornie nie hałasować tą syreną. Aż mnie głowa boli. I wszyscy się za nami oglądają. — W istocie, na wyludnionych jeszcze niedawno ulicach pojawili się pierwsi przechodnie, choć sklepiki z nabiałem były jeszcze zamknięte. — Przecież wam te zwłoki nigdzie nie uciekną — dodała z wyrzutem.

— Trzeba było tak od razu mówić — odrzekł kierowca lodowatym tonem.

Jego towarzysz uśmiechnął się pojednawczo, odwrócił do panny Pelkonen i wyjaśnił:

— Szanowna pani rozumie, czasem dobrze tak sobie wcisnąć gaz do dechy, zwłaszcza jak ma się ku temu dobry powód. Noc mieliśmy bardzo monotonną. To dokąd jedziemy? I co się w ogóle stało? Pies

w każdym razie szanownej pani nie zginął. Dyżurny w kółko gadał nam coś o psie.

Frywolny ton policjanta głęboko uraził pannę Pelkonen.

— Nie jestem żadną szanowną panią. Nazywam się Pelkonen, panna Pelkonen, i żywię głęboką nadzieję, że moje nazwisko nie będzie wymieniane w związku z tą sprawą. A mój pies nie zrobił nic złego, choć rzeczywiście spuściłam go na chwilę ze smyczy. Poza tym to właśnie on znalazł te zwłoki. Sami przecież macie psy.

Żartowniś rozejrzył się z udawaną powagą po aucie i odrzekł:

— Akurat nie wzięliśmy. Ale daję głowę, że sobie poradzimy z takim psem przy boku. Diabelnie miły stwór. — Policjant bez wahania przełożył ramię przez oparcie siedzenia i pogłaskał Dobrego Druha, który z początku podejrzliwie obwąchał jego dłoń, ale już po chwili ostrożnie merdnął ogonem.

Zupełnie udobruchał tym pannę Pelkonen, więc już wcale się nie obrażała, gdy kierowca burknął niecierpliwie:

— To dokąd w końcu jedziemy?

— Trochę jest dziś podminowany — poinformował przyjazny policjant, wskazując kciukiem na kolegę. — Przez całą noc miał tylko jeden temat. A ja myślałem, że człowiek powinien się już dawno przyzwyczaić, jak...

— Do tego nie można się przyzwyczaić — uciął kierowca.

Panna Pelkonen spostrzegła ze zdumieniem, że mężczyzna ma całkiem biały czubek nosa, jak człowiek śmiertelnie czymś przerażony. Nic dziwnego, że owładnęło nią nagle poczucie nierealności, niczym we śnie. Musiała się pochylić i pogłaskać Dobrego Druha. Jej wierny przyjaciel polizał ją ciepło po dłoni i panna Pelkonen zdała sobie sprawę, że przynajmniej pies znów dobrze się bawi.

— Jedziemy na Wzgórze Obserwatorium — oznajmiła. — Pod pomnik Rozbitków. Leży tam niedaleko, w krzakach. Jakiś bezdomny pijak.

— Autem się tam nie dojedzie — ocenił ponuro kierowca. — I gdzie by tam zresztą dla jakiegoś ochlapusa. O tej porze roku rozkładają się na ławkach po całym mieście, żeby tylko ich zgarnąć i na najgorsze mrozy zamknąć w ciepłej kozie za niezapłacone grzywny.

— Pan chyba nie ma serca — stwierdziła z wyrzutem panna Pelkonen. — Poza tym tamten pijak nie leży na ławce, tylko w krzakach. I jest martwy. Co do tego nie ma wątpliwości.

— Ciekawe, co tym razem wykombinowali do picia — zagaił przyjazny policjant, żeby podtrzymać rozmowę. — Pamiętam jedną zimę, padali wtedy jak muchy, gdzie się człowiek obejrzał. Na takich etykieta z trupią główką nie robi najmniejszego wrażenia.

Kierowca zawrócił i jechał teraz powoli, mrużąc coś pod nosem.

— Wcale nie jestem bez serca — ocknął się nagle. — Wręcz odwrotnie. Mam gołębie serce. I to mnie najbardziej wkurza.

Przy budce telefonicznej radiowóz skręcił pod górę. Panna Pelkonen wskazała na zdemolowany aparat i rzekła oskarżycielskim tonem:

— Ten telefon jest zepsuty. Słuchawka wyrwana, książka numerów podarta.

— Kompletna dzicz, ta dzisiejsza chuliganeria — skwitował uprzejmy policjant. — Nie zaszkodziłoby im trochę dyscypliny. — Spojrzał z uśmiechem na kierowcę i dodał aluzyjnie: — Ale dzisiejsi rodzice też są do niczego.

— Nigdy swoich dzieci nie biłem i nie będę — odciął się gniewnie kierowca, po czym rozejrzał się po parku. W oko wpadł mu samochód na trawniku, dziwnie owijający maską pień drzewa. — Oho — rzekł

z przekazem. — Zdaje się, że nie tylko my rozbijamy się dziś autem po parku.

— Zaczekaj no — rzucił jego towarzysz i otworzył drzwi.

Wóz jeszcze się nie zatrzymał, a policjant już był na zewnątrz, choć panna Pelkonen krzyknęła, aby go powstrzymać. Nie dotykając wraku, zajrzał do środka, zapisał w notesie numer rejestracyjny i spojrzął na wyżłobione w trawniku koleiny. Po chwili był z powrotem w aucie.

— Nowa robota chłopaków — powiedział. — Ale wygląda na to, że nikomu nic się nie stało. Szyby pobite w drobny mak, kilka kropel krwi. Zgłosimy miejsce i numery, niech właściciel przyjedzie sobie popatrzeć. Nie zdążył nawet jeszcze zgłosić kradzieży. — Upewnił się co do tego, zerkając do notesu. — Nie, nie było żadnego zgłoszenia. Trzeba będzie chyba zdjąć odciski palców. Ale to już nie nasze zadanie. — W międzyczasie nacisnął pewnie jakiś przycisk, choć w pierwszej chwili panna Pelkonen sądziła, że policjant mówi do ducha: — Uwaga, uwaga, tu znowu dwójka, odbiór!

Radio w aucie wytrzeszczało coś w odpowiedzi, a wtedy policjant szybko i rzeczowo podał numer rozbitego samochodu i miejsce, w którym stoi.

— Śliczny mercedesiak — dodał z nutką zazdrości w głosie. — Tak się ci bogacze dzisiaj zabawiają, choć mówię wam, że to sprawka tych kozaków, wspomnicie moje słowa. A tak poza tym macie jakieś nowiny?

— Macie, macie — zapewniło radio i zelektryzowany kierowca przywarł niemal do głośnika. — Miałem was właśnie wywoływać. Chłopak, przed minutą. Położna mówi, że będzie tak na oko ze cztery kilo. Matka czuje się dobrze, przesyła pozdrowienia.

Kierowca jęknął, oparł czoło o kierownicę i wymruczał pod nosem:

— Dzięki Bogu.

Panna Pelkonen z oczami okrągłymi ze zdumienia patrzyła na zroszone potem czoło kierowcy. Ale mężczyzna już się wyprostował, a jego ponurą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. I zaraz wyjaśnił przeproszającym tonem:

— Bo widzi pani, do tego naprawdę nie można się przyzwyczaić, chociaż to już czwarte. Drugi chłopak. Ostatnie dwa razy nic tylko dziewczynki.

Panna Pelkonen nie zdążyła się nawet obrazić w imieniu całej płci nadobnej, w tejże bowiem chwili kierowca zapuścił silnik i zakomenderował:

— No, to pojechali! Prosto pod Rozbitków! Nie my jedni rozbijamy się dzisiaj autem po parku.

Szofer zawrócił wóz przez trawnik i ruszył stromą alejką z tak zawrotną szybkością, że silnik zaczął wyć, a panna Pelkonen musiała się chwycić oburącz przedniego siedzenia.

Nie zdążyła się jednak przerazić, gdyż ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu kierowca pełną piersią zaśpiewał głosem nadzwyczaj czystym i donośnym:

— Hej lalalalala, hej lalalalala, odpowiada echem mój cudowny kraj!

Jego towarzysz zrobił wyrozumiałą minę i wskazując na niego kciukiem, wyjaśnił:

— Śpiewa w policyjnym chórze. Wczoraj wieczorem był na próbie, ale miał kluchę w gardle i chłopaki już zaczęli mu grozić, że nie pojedzie z nimi na występy do Kopenhagi.

W tej samej chwili samochód zahamował pod pomnikiem Rozbitków. Uprzejmy policjant wyskoczył z wozu jak sprężyna i z szacunkiem otworzył drzwi pannie Pelkonen.

— No dobra — zagadnął rzeczowo i już bez cienia wesołości — gdzie te zwłoki?

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

1 Niewielka dzielnica Helsinek położona na wąskim skrawku lądu we wschodniej części pierwotnego centrum miasta, od której oddzielona jest kanałem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2 *Kaino* po fińsku znaczy „nieśmiały, wstydlivy”, *pelko* zaś „strach, lęk”.

3 Park blisko centrum Helsinek.

4 Luksusowe dzielnice na zachód od centrum Helsinek. Munkkiniemi leży w granicach miasta, West-End od strony Espoo.